

ŚWIAT i ŻYCIE

Ilustrowany dodatek tygodniowy
„DZIENNIKA ZACHODNIEGO“

Katowice, 19 września 1948 - Rok III
Nr 37



Inż. Tadeusz Dziulak, adiunkt Politechniki Śląskiej w Gliwicach, utalentowany konstruktor, twórca nowego modelu o napędzie odrzutowym

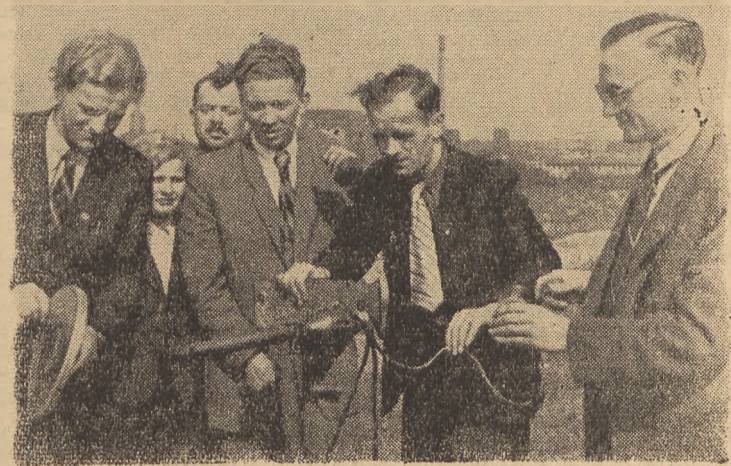
Nasi konstruktorzy przy pracy

Pierwszy polski model silnika odrzutowego

Przeprowadzona na lotnisku w Gliwicach próba działania pierwszego w Polsce modelu o napędzie odrzutowym, zwróciła uwagę tak na osobę konstruktora, jak również wykonawców jego projektu i na sam model o nieskomplikowanej, lecz pomysłowej konstrukcji.

Jak wykazały doświadczenia ostatecznej wojny światowej, zastosowanie silników, których szybkość równa się, względnie przewyższa szybkość fal głosowych, stała się zagadnieniem zupełnie realnym. Najlepszym tego dowodem było podjęcie przez niemiecki przemysł zbrojeniowy jeszcze w r. 1929 pierwszych prób (Fieseler), według projektów inż. Luessera. Doprowadziły one m. in. do konstrukcji broni odrzutowej, zwanej popularnie V1 (właściwa nazwa „Argos” — As 014).

Turbina odrzutowa wmontowana po raz pierwszy do samolotu Fieseler 103, umieszczając ją pod



Pierwsza próba silnika odrzutowego, pomysłu inż. Dziulaka, na lotnisku w Gliwicach

km na godz. Stał się jednak b. niebezpieczną bronią w ostatniej wojnie, tym bardziej, że pocisk, kierowany za pomocą radia, niezawodnie niemal osiągał zamierzony cel. W walce z V1 odznaczali się wybitnie m. in. polscy lotnicy myśliwcy, którzy podlatywali do lecących na wysokości kilku tys. metrów pocisków i wytracali je z równowagi, powodując upadek do morza. Jak wykazały statystyki, na Londyn wysłali Niemcy około 8.000 sztuk tego rodzaju pocisków.

Ulepszeniem silnika odrzutowo-pulsacyjnego, jakim był V1, była nowa konstrukcja prof. Brauna — rakieta A4, zwana także V2, próby z którą zostały podjęte w r. 1940. Należy tu zwrócić uwagę na niespotykane dotąd właściwości, które charakteryzują następujące dane techniczne: wysokość wznoszenia wynosiła 35.000 m, szybkość maks. 5.600 km na godz., tj. około 1.600 metrów na sek. Przyspieszenie jej opadania było 8—10 (szybsze) większe od przyspieszenia ziemskiego (wynoszącego śr. 9,81 m na sek.) przy odrzucie 2.700 kg uzyskanym za pomocą skroplonego tlenu, spirytusu i wody. Rakieta

spalała w ciągu 60 sek. 3.400 kg tlenu i 5.000 kg alkoholu. Szybkość gazów przy wyrzucie była siedmiokrotnie większa od szybkości fal głosowych.

Jest rzeczą dowiedzianą, że każda „tajemnica” prędzej czy później być nią przestaje, ponieważ stały postęp techniki rozwiązuje najbardziej zakomplikowane



Inż. Delebiński Wacław

zagadnienia. W Polsce dzieje się podobnie. Najmłodsza generacja konstruktorów, nie zniechęcona trudnościami pierwszego okresu doświadczalnego, przystąpiła jeszcze w r. 1946 do prac wstępnych nad wynalazkiem silnika o napędzie odrzutowym. Wynikami tych prac był zupełnie nowy model, konstrukcji adiunkta katedry budowy samochodów i ciągników Politechniki Śląskiej w Gliwicach, inż. Tadeusza Dziulaka. Wbrew wszelkim przewidywaniom silnik ten, dotychczas próbowany 17 razy, osiągnął czas prób od 10—25 sek. Konstrukcja jego jest nadzwyczaj nieskomplikowana, posiada on bowiem w wlotu duralową głowicę z kanałami wlotowymi, dyszę paliwową i dyszę rozruchową, wyloty których zamknięte są membraną sprężynującą, poza którą znajduje się komora spalania i świeca (służąca tylko do zapłonu). Z chwilą zapalenia się mieszanki gazy zostają odrzucone w kierunku wylotu do t. zw. dyfuzora. Silnik uruchamia się przez zassanie go paliwem przy pomocy sprężonego powietrza. W ten sposób powstaje mieszanka, która zostaje wprowadzona do komory spalania. Iskra od świecy powoduje zapalenie się jej i powstałe gazy zostają odrzucone do tyłu. Wytwarzające się w komorze spalania podciśnienie (próżnia) powoduje automatyczne zassanie świeżej mieszanki. Proces ten odbywa się z szybkością kilku tysięcy razy na minutę, ponieważ szybkość drgań membrany zaliczana jest do rzędu kilkunastotys. drgań na min.

Okres drgań membrany musi ponadto wynosić tyle, ile wynosi okres drgań gazów spalinowych w dyfuzorze.

Inż. Dziulak zastosował obecnie nowy, własnego pomysłu wentyl, służący do regulacji dopływu mieszanki do dysz. Ulepszenie to ma znaczenie specjalne wobec zastosowania modelu do prób przy konstrukcji... roweru o napędzie odrzutowym, który znajduje się obecnie w stadium wykończenia. Wspomnieć należy również o dwóch st. asystentach Pol. Śl. inż. Wacławie Delebińskim oraz inż. Tad. Michalskim, którzy podjęli się wykonania wszelkich prac, związanych z konstrukcją silnika.

Niezależnie od prac, przeprowadzanych obecnie przy realizacji budowy silnika odrzutowego, inż. Dziulak posiada całko-

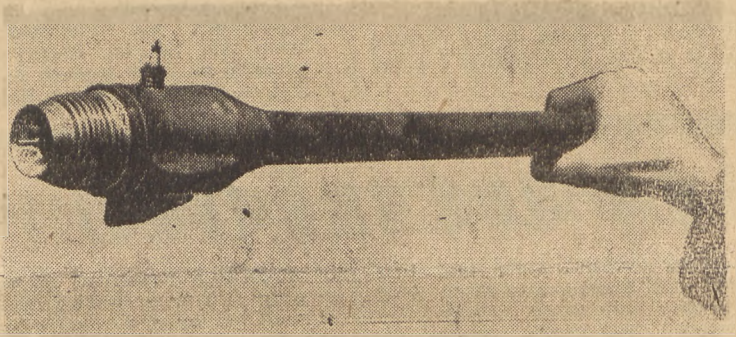
wicie opracowaną konstrukcję helikoptera, którego budowę zamierza rozpocząć w najbliższym czasie.

Nowym szczegółem, który inż. Dziulak wprowadza do konstruk-

cji swego helikoptera, to napęd odrzutowy w postaci 3 silników, umieszczonych na trójdzielnym śmigle rotora. Helikopter ten przez zmianę kąta nachylenia osi śmigła uzyska również możliwość nietylko wznoszenia się pionowo, lecz także będzie mógł służyć do przelotów, uzyskując przy tym niewielką stosunkowo (około 70 km/godz.) szybkość.

Największe trudności ma konstruktor w doborze odpowiednich materiałów, potrzebnych do budowy modelu, poza tym na realizacji prac odbija się brak nawet najbardziej nieskomplikowanych narzędzi do obróbki. Stanowi to zasadniczą przeszkodę tak w rozpoczęciu seryjnej produkcji motorka śmigłowego do modeli latających, jak również przy dalszym doświadczeniach nad ulepszeniem dotychczasowych konstrukcji.

FR. NIEDZIELSKI



A oto model omawianego silnika. Długość jego wynosi 54 cm.

Wszystkie zdjęcia H. Makarewiczowej.

Bolesław Surówka

Rzeź trutniów

Wadzia tragedia wrześniowego południa

Itowo, we wrześniu.

— Chodź pan, zdaje się, że już się zaczęło...!

Pan Kowalewski, Mazur z krwi i kości i z dziabia przodka, ale nie taki Mazur spod Warszawy, lecz taki prawdziwy mazurski „af-ton”, jak mówią w tamtych stronach pod lewą czy Półksiężem, już od szeregu dni wtajemniczał mnie w tajniki hodowli pszczoł, czyli jak ja mówiłem „apikulture”. 65-letni pan Kowalewski, wprowadzając bardzo się oburzał na to cudzoziemskie słowo, które jego zdaniem było „dziabia” warte i zupełnie niepotrzebne, jako że bez niego świetnie prosperują jego 44 ule — niemniej jednak uznawał mnie za godnego interlokutora w ważnych pszczelich sprawach.

Dowiadując się więc kolejno wszystkich dziejów, jakie się rozgrywały w mrocznych, a pachnących miodem wnętrzach pni (ul jest wyrażeniem raczej laickim, którego pan Kowalewski też nie uznawał), a więc o matkach (zwanych przez laików „królowymi”), rojach, lotach godowych, budowie wewnętrznej ula i tak dalej i dalej. Wreszcie doszło do trutni.

Czy warto być trutniem?

Miły Boże — czy warto być trutniem? Na ogół wszyscy odpowiadają, że nie. Bo niby cóż taki truteń? Żyje po to, aby w końcu zostać w bezlitosny sposób zamordowany. No tak — oczywiście, ale przyjrzyjmy się bliżej życiu trutnia. Prawda, że w końcu ginie, zatknięty przez te same pszczoły, które dotychczas o niego jak najtroskliwiej się starały, ale w to, jakie on sobie prowadzi jedwabne życie! Przede wszystkim żyje dłużej, niż zwyczajna pszczoła-robotnica, której okres bytowania w postaci owadu doskonałego rzadko na ogół przekracza okres sześciu tygodni. Jego żywot natomiast oblicza się

na całe miesiące. Po kolei zaś to wygląda tak: zaczyna się od tego, że taki facet, jako przedstawiciel rodu męskiego, przygotowuje się wraz ze swymi współtowarzyszami a równocześnie rywalami do wesela, czyli do lotu godowego. Wszystkie robotnice, te bezpłciowe istoty, o których kiedyś napisał Maeterlinck, że są to wiaćwie stare panny, którym na skutek wieczystego peniśnienia pokładem zamknięto się w żądło — w czym by tkwiła pewna aluzja do stosunków ludzkich — opiekują się specjalnie troskliwie panami młodymi. Ci bowiem muszą być nie tylko syci, ale też dobrze wyglądający oraz zwarci, silni i gotowi.

Wreszcie nadchodzi wesele. Przyszła królowa, jedyna przedstawicielka płci żeńskiej (poza, naturalnie, starą matką), wzbija się w powietrze, możliwie jak najwyżej i urządza to oczywiście w piękny, słoneczny, upalny dzień. Taki w sam raz do ślubu. Za nią zaś, jak „za panią matką” (in spe — naturalnie) lecą tłum oblubińców.

Biedacy nie zdają sobie sprawy, że ten, który się złączy z oblubińcą, natychmiast zginie. Takie bowiem jest już bezlitosne prawo i urządzenie pszczołej natury, że „matrimonium consumatum” musi się kończyć śmiercią męskiego partnera. Trutnie jednak o tym nie wiedzą — bo gdyby wiedziały, to by może woląy lecieć w przeciwną stronę, niż przyszła królowa. Chociaż kto wie? Niezbadane są tajemnice męskiej natury... W każdym razie pędzą na wyścigi za oblubińcą, a ten, który jest najsilniejszy, najzwinniejszy i najbardziej pożądlivy, osiąga swój cel. No i ginie. Reszta zaś rozkochanego a zawiedzionego towarzystwa wraca do ula wraz z oblubińcą-wdową, noszącą na sobie nieraz jeszcze resztki małżonka. No i podąża przy rójce, albo za nową panią, albo zostaje przy starej.

Dla trutni teraz zaczyna się okres fantastycznego dolce far niente. Jeden z nich poświęcił się za wszystkich, ale wszyscy byli równie wybrani na tę zaszczytną, bo zapewniającą ciągłość gatunku, (i chyba przyjemną?), śmierć. Los zrzucił, że poniósł ją, dajmy na to numer 17, a nie 52. Trudno, stało się, a teraz „hej, użyjmy żywota”, czyli „kobieta, wino i śpiew”.

Jedwabne życie

To znaczy, przepraszam — tylko wino, a raczej miód, i śpiew. Bo tamto pierwsze już, rzecz prosta, nie wchodzi w rachubę. Chyba, gdyby nagle — co też się czasami zdarza — zdarzyły się w ulu narodziny jeszcze jednej królowej, a w związku z tym, nowe wesele, i nowe rojenie się, które zawsze jest następstwem takiej ślubnej uroczystości. Zależy to od rozmaitych czynników, pogody, obfitości, tzw. pożytku, rodzaju pokarmu, jaki spożywa królowa-matka (bo prawdopodobnie od tajemnic alchemicznych gastronomii pszczołej zależy, czy się rodzą robotnice, trutnie, czy samice) — doś na tym, że może się powtórzyć taka historia kilka razy do roku.

To jest prawdopodobnie przyczyną, dlaczego pszczoły utrzymują przez całe lato w swej dziwniej społeczności ulowej kilkudziesięciu i więcej kawalerów na wydaniu. Tak na wszelki wypadek. Bo zasadniczo tych „darmozjadów” można by było wymordować już zaraz. Facieli jednak mogą się jeszcze przydać.

Mówiłem o „winie i śpiewie”. Wino oczywiście zastępuje miód. Bo trutnie mogą się karmić tylko gotowym miodem, same zaś go produkować nie umieją. Siedzą więc w swych komórkach i obżerają się, czy też uplają — co kto woli — złotem, burztynowym, rudawym

(Dokończenie na stronie 2)

Znasz dobrze Polskę?



Muzealny kościółek w parku Kościuszki w Katowicach, piękny zabytek skansenowski. (Akwafora Kazimierza Dzielnińskiego, znanego artysty malarskiego i grafika krakowskiego)

Z pamiątek polskich na Libanie

Cudowny obraz w Bikfai

Na zachodnich stokach gór Libanu, pachnącego pinia i dziką miętą w odległości około 30 km na północny wschód od Bejrutu, leży patriarchalnie dostojne i ciche miasteczko Bikfaja. Zapatrzona w błękit Śródziemnego Morza i zieloną dolinę Psiej Rzeki (Nahr el-Kelb) wieździe Bikfaja swój pogodny, do marzenia na jawie podobny, żywot. Nikt się tu nie spieszy, nikt nerwowo nie spogląda na zegarek. Wszystko tu „ala mahlaki!” — „powoli, powoli!” — po cóż się spieszyć? Maronicy¹⁾ mieszkańcy miasteczka, których niewiele jest ponad tysiąc, dzielą swe życie między uprawę winnej latorośli i sporząd-

1) Katolicy obrządku syryjskiego, nazwani tak od św. Marona, żyjącego w V w. po Chr.

dzanie doskonałych win, a tkanie jedwabnych płócien na ręcznych warsztatach.

Od czasu do czasu ciszę Bikfaji zakłóca gwar przybyszów z całego niemal Libanu. Jednym przyciąga mineralne źródło „Nash”, bardzo podobno pomocne w cierpieniach wątroby — są to zwykli na całym świecie kuracjusze. Celem drugich, dodać trzeba przewyższających ilościowo grupę pierwszą — jest skromny kościół OO. Jezuitów z cudownym i sze- roko czczonym obrazem Matki Boskiej Wzbawicielki („Sejjida en-nedża”). Obraz ten umieszczony w specjalnej kaplicy tegoż kościoła, jest przedmiotem stałej adoracji znacznej ilości pielgrzymów. Dla katolika - Libańczyka Bikfaja znaczy mniej więcej to

samo, co dla katolika - Polaka Częstochowa.

Nas jednak interesuje w tym wszystkim fakt, że obraz ten Li-

bańczycy zawdzięczają naszemu rodakowi — o. Maksymilianowi Rylle (1802—1848). Słynny ten misjonarz i kaznodzieja oraz dła-

lać oświatowy spędził wiele lat swego pracowitego życia w Syrii i na Libanie. Jednym z jego wielkopomnych dzieł jest założenie Uniwersytetu św. Józefa w Bejrucie (o czym pisaliśmy w nr. 9 „Świat i Życie”). A oto historia obrazu:

W r. 1838 o. Rylle bawiąc w Rzymie, doskonałą swą postawą i piękną głową, zwrócił uwagę słynnego włoskiego malarza, Franciszka Podestiego. Podestiego malował właśnie obraz na temat biblijny pt. „Sąd Salomona” i prosił o. Rylle, by mu zechciał pozować do obrazu. Zgodził się na to nasz misjonarz, lecz w zamian zażądał od włoskiego artysty obrazu Madonny dla misji syryjskiej OO. Jezuitów. Obraz został niebawem wykonany przez jednego z uczniów Podestiego, pod ścisłym nadzorem mistrza i według wskazówek ks. Rylle. Nieduży, ale doskonale zrobiony obraz Bogarodzicy powędrował wkrótce na Liban i znalazł się



Cudowny obraz Matki Boskiej Wzbawicielki, cel niezliczonych pielgrzymek do kościoła OO. Jezuitów w Bikfai

w końcu we wspomnianym kościele.

Z biegiem lat wiele rzeczy ulega zapomnieniu. To samo stało się i w Bikfai.

Słynny obraz M. B. Wyzwolicielki w Bikfai zawdzięczają Libańczycy Polakowi, ale bardzo niewielu z nich o tym wie i pamięta.

F. M.



Malowniczy widok okolic Bikfai

Trochę wiadomości o metalach szlachetnych

Srebrno-złota historia

W grupie metali specjalną rolę odgrywają złoto i srebro, które wraz z platyną należą do tzw. metali szlachetnych — czyli odznaczających się znaczną odpornością na działania czynników chemicznych. Jakkolwiek w Polsce mamy bardzo małe ilości zarówno złota jak i srebra, a platyna nie posiadamy w ogóle, to jednak w związku z ich gospodarczym znaczeniem warto o nich wspomnieć.

Jeden z najcenniejszych metali — to złoto: jest ono w szeregu krajów nie tylko żelaznym fundamentem skarbu państwa, ale poza tym stanowi ważny surowiec przemysłowy.

Złoto występuje w przyrodzie w stanie rodzimym, zazwyczaj w połączeniu z arsenem, pirytem, kwarcem i innymi składnikami. Można je też spotkać w piasku strumieni rzek, które w swoim górnym biegu wypłukały je ze złóż pierwotnych: np. w rzece Jukon na Alasce. W minimalnych ilościach znajduje się ponadto w wodzie morskiej.

Produkcja światowa złota osiągała w latach 1938—1940 przeciętnie około 1.200 ton rocznie. Do ważniejszych producentów należą: Związek Południowej Afryki, ZSRR, Kanada, Stany Zjednoczone, Australia, Korea, Meksyk, Filipiny, Rodezja itd.

Nasze zapasy

W Polsce złoto występuje koło Złotego Stoku, u podnóża Sudeców, na wschód od Kłodzka. Znajdujący się tam nasz jedyny złotodajny zespół kruszców zawiera przede wszystkim rudy arsenowe, z małą domieszką złota (nie przekraczającą obecnie około 3—5 gramów na tonę). Gdy więc produkcja arsenu, służącego głównie jako trucizna dla ępienia szkodników w rolnictwie jest jak na nasze możliwości zużycia znaczna (arsen nawet eksportujemy) to uzyskiwane jako produkt uboczny ilości złota są znikome i — rzecz zrozumiała — nie wystarczające dla naszych potrzeb.

Same zapasy, oszacowane w roku 1930 na mniej więcej 1.000 kg zmniejszyły się w międzyczasie wskutek poważnego wyeksploatowania pokładów złotonosnych przez Niemców. Ukazujące się czasami w naszej prasie optymistyczne wzmianki o możliwościach produkcji złota zniekształcają stan faktyczny. W przeszłości uzyskiwane w Złotym Stoku ilości złota były nieco większe: około roku 1560 np. produkowano mniej więcej 140 kg rocznie, w okresie od 1895 r. do 1930 r. — 40—60 kg rocznie. Dziś wydobywane przez nas drobnitkie ilości złota nie odgrywają niemal żadnej roli w naszej gospodarce.

Przejdźmy do srebra

Mniej wartościowe dziś srebro, które ongiś, do czasów pojawienia się srebra meksykańskiego w XVII wieku, również dość wysoki cenę, używane jest do wyrobu preparatów chemi-

nych i leczniczych oraz znalazło poważne zastosowanie w fotografii. Spotykamy je głównie w towarzystwie ołowiu, cynku, miedzi i arsenu. Spośród rud dostarczających nam srebra należy szczególnie wymienić blyszcz ołowiu, czyli galen — siarczek ołowiu zawierający przeciętnie 0,05 do 0,1 proc. metalu szlachetnego.

Otrzymuje się je ubocznie przy wytopianiu cynku i ołowiu.

Polskie tradycje

Przesłole polskiego górnictwa ma wiele wspólnego ze srebrem: razem z rudami ołowiano - cynkowymi wydobywano je już w XIII wieku w okolicach Bytomia i Olkusza (w wieku XVII istnia-

ła tam mennica, w której bito monety z krajowego srebra). W kurawka woda była przyczyną, że w wieku XVIII górnictwo olkuskie upadło, by znowu w następnym XIX wieku, w związku z zapoczątkowaną eksploatacją rud cynkowych, rozpocząć nowy okres rozwoju.

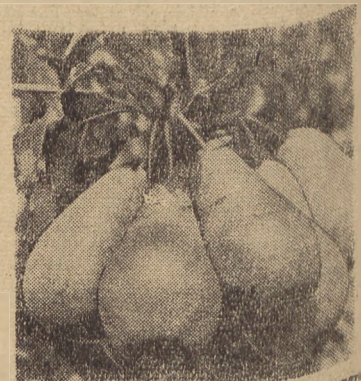
Ważniejsze obszary z pokładami srebrnymi znajdują się koło Piekar, Brzezin, Tarnowskich Gór, Siewierza, Sławkowa, Olkusza, Bolesławia, Zagorze, Czeladzi, Chrzanowa i Trzebnicy. Wśród wymienionych gospodarstw najważniejszymi są złoża występujące w tzw. niecce bytomskiej, ciągnącej się od Bytomia na Będzin i w pasie siewiersko-oluskim w okolicach Olkusza, Sławkowa oraz Bolesławia.

Ogólne zapasy rud cynkowo-olowianych: blyszczu ołowiano, blendy cynkowej i galmanu oceniane są na 60—70 milionów ton, co przy uwzględnieniu przeciętnej 0,03 proc. zawartości srebra daje około 18.000 ton zapasów samego srebra.

Przedwojenna nasza produkcja tego metalu, która wahała się między 2—3 tonami rocznie, nie wiele się zmieniła po wojnie: w roku 1945 osiągnęła 2.693 tony, w roku 1946 — 2.386 ton. Porównując liczby te z produkcją ubiegłego stulecia — chociażby samej górnośląskiej części obszarów wystepowania srebra — (kiedy to np. w roku 1860 już te same ilości otrzymywano co obecnie, a w późniejszym okresie nawet więcej: w roku 1830 — 10 ton, w roku 1900 — 11 ton), można przypuszczać, że wydobycie srebra zwiększy się w niedalekiej przyszłości. Sama produkcja światowa wahała się w latach 1938 do 1942 w granicach od 8.321 do 8.573 ton, przy czym pomiędzy najważniejszymi producentami spotyka się takie potęgi gospodarcze jak: Meksyk, Stany Zjednoczone, Kanada, Peru, Australia, Japonia, ZSRR.

Mgr. A. Hornis

Dary jesieni



Powyższe zdjęcie przysłał nam jeden z naszych czytelników. Wspaniały pęk „klapsów” wygląda nie tylko bardzo smacznie, ale i bardzo efektownie. Taka jedna gałązka wystarczy na pewno najcięższemu smakoszowi na poobiedni deser

„Aleksander Matrosow”

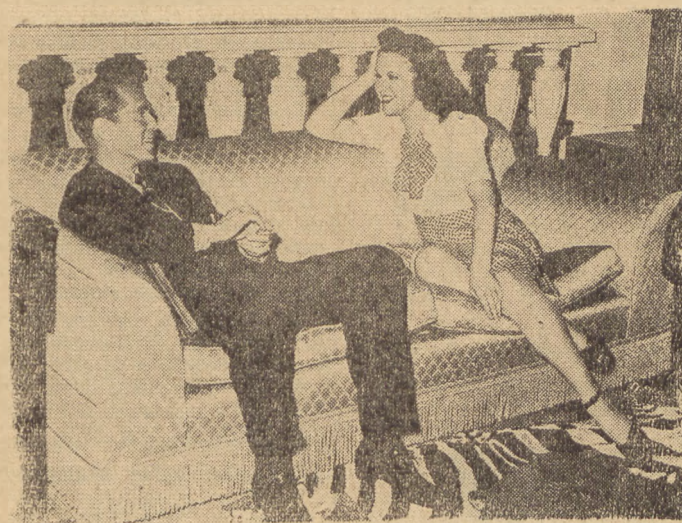


A. Ignatiew w mocnym filmie produkcji radzieckiej „Aleksander Matrosow”

„Aleksander Matrosow”, to nie tylko tytuł nowego filmu produkcji radzieckiej, to nawet nie tylko nazwisko, to już symbol. Symbol młodzieńczej wiary w słuszną sprawę, o którą się walczą, wiary w zwycięstwo, w przyjaciół i w ludzi, z którymi się kroczy w jednym szeregu. Aleksander Matrosow, 19-letni uczeń szkoły kolejowej, walczy jako ochotnik w czasie ostatniej wojny. Ukoronowaniem jego krótkiej, ale jak bardzo bohaterkiej epopei frontowej jest żołnierska śmierć, wielka i porwywająca, jak rozwiany sztandar. Śmierć ta jest wynikiem głęboko pojętej wiary w zwycięstwo za wszelką cenę. Młody Matrosow rzuca się sam na gniazdo niemieckiego karabinu maszynowego. Ginie, ale wrogi kulomiot umilkł. To jest jego najwyższa cena, którą zapłacił bez wahania. Inaczej być nie mogło. Taka śmierć, jakim było życie — płomiennie i pięknie.

Film o bohaterskim chłopcu ma wiele walorów. Pierwszym z nich jest doskonała gra A. Ignatiewa, młodego, lecz bardzo zdolnego radzieckiego aktora. Zwłaszcza pierwsze sceny „Matrosowa”, odznaczające się zresztą bardzo dobrą fotografią, należą w wykonaniu Ignatiewa do najlepszych w całym filmie. Poza tym obraz ten ma cały szereg mocnych scen batalistycznych, opartych o trafne i twórcze tło techniczne. W całości film wywiera duże wrażenie i przekonuje swoją bezpośredniością i prostotą.

„Siostra lokaja”



Impertyczna para: Deanna Durbin i Franchot Tone w amerykańskim filmie „Siostra lokaja”

Równocześnie wchodzi na nasze ekrany przyjemny film rozrywkowy produkcji amerykańskiej, p. t.: „Siostra lokaja”. Trzeba od razu podkreślić, że trudno o lepszą parę wykonawców głównych ról, niż w tym filmie. Deanna Durbin i Franchot Tone narzucają temu obrazowi od pierwszej sceny swój własny, charakterystyczny styl, pełen charme'u i lekkości, tak nieodzownej w tego rodzaju komedii. Wiemy wszyscy, że filmy Deanny Durbin muszą mieć podkład muzyczny, bo bez niego ta uroczą śpiewaczką pozostałaby, wyłączając uroczą aktorką, niejako — fotografowanym słowikiem.

Filmów tego rodzaju trzeba przede wszystkim słuchać a nie tylko je oglądać: — wtedy dają pełnię zadowolenia artystycznego. „Siostra lokaja”, mimo dosyć prozaicznego tytułu spełnia oba warunki i to spełnia je jak najbardziej zadowalająco. Nie wątpimy, że film ten zdobędzie sobie życzliwość naszej publiczności.

A nawet, jesteśmy tego pewni.

ALLAN



W ZSRR wydano serię znaczków pamiątkowych, poświęconych znanemu malarzowi Szyszkiniowi, zmarłemu przed 50 laty. Na znaczku za 30 kop. i 1 rubla widzimy podobiznę malarza. Znaczek pierwszy wykonany jest w kolorach brązowym i zielonym, drugi — brązowym i niebieskim. Na znaczku 50 kop. wykonanym w kolorach czerwonym, niebieskim, zielonym i złotym reprodukcją jest znany obraz Szyszkina „Zyto”. Ostatni wreszcie znaczek, wartości 60 kop., przedstawia również reprodukcję obrazu tego malarza „Ranek w sosnowym lesie”. Znaczek ten wykonany jest w kolorach brązowym, zielonym, czerwonym i złotym